№ 34. Warszawa, dnia 22-go Sierpnia 1908-go roku. Rok XLIV

BLUSZCZ

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie miesięcznie kop. 60, kwartalnie rub. 1 kop. 80; półrocznie rub. 3 kop 60; rocznie rubli 7 kop. 20.
Na Pradze w księgarni S. Rzymskiego, Wileńska, 4.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie: rocznie rub. 10, kwartalnie rub. 2 kop. 50.
Cena numeru pojedyńczego kop. 20.

Wychodzi pod kierunkiem literackim
Zofii Seidlerowej.
Ekspedycya główna: ulica Nowy-Świat, 41.
Ogłoszenia przyjmuje Administracya „Bluszczu" po kop. 15 za wiersz petitem lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austryackiem: we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie złr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cent- 50.
W Krakowie u D. E. Friedleina; kwartalnie złr. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskiem dla abonentów „Dziennika Poznańskiego." w Poznaniu kwartalnie 3,60 mk.; z przesyłką pocztową 4,30 mk.

Analiza kłamstwa.

Kłamstwem przeważnie nazywamy mowę, będącą w sprzeczności z myślami tego, który ją wypowiada. Jeśliby to orzeczenie było jedynem pojęciem o kłamstwie, możnaby w takim razie, z prawdziwą ulgą w sercu zapytać: Gdzież jest człowiek, który nigdy nie skłamał?

W rzeczywistości człowieka takiego niema. Świadomie, czy nieświadomie, oszukując siebie czy innych, — z litości czy z najniższych pobudek, z upodobania do plotek czy z uprzejmości towarzyskiej — kłamią wszyscy.

Kłamstwo—każdy to przyzna—jestto dowodzenie, które nie jest prawdą. Ale cóż jest prawdą? Jeśli mówimy, że teraz jest rok 1908 to nie jest to prawdą dla wszystkich, albowiem podług żydowskiego kalendarza jesteśmy w roku 5668. Gdy powiem, że jest 9 rano, godzina ta nie zgadza się z godziną, dajmy na to w Sydney, tam bowiem o tej porze jest 6-ta wieczór, mimo to jednak ani Izraelita, liczący lata inaczej, ani Australijczyk, nie będą mego dowodzenia uważali za kłamstwo, a można z tego wnioskować jedynie, że prócz matematycznych, niema żadnych prawd *ogólnych*.

W matematyce tylko, zasady i dowodzenia niezmienione trwają wiecznie, po za nią, ani w naukach, ani w sztukach, ni w życiu praktycznem, nie ma niczego, coby zatrzymane w jednym punkcie zmienić się nie dało i miało prawo do nazwy absolutnej prawdy.

Wynikom badań i odkryć dnia wczorajszego zaprzeczą wyniki badań i odkryć jutra.

Do roku 1490 istniały tylko trzy części świata; nagle przybyły dwie i jest ich pięć. Do roku 1500 słońce obracało się około ziemi, Kopernik dowiódł że jest wręcz przeciwnie.

W naukowych dziełach średniowiecza (Gesnera zoologia, Parès'a chirurgia) znajdujemy różne potworności, które tak samo jak djabeł przeniosły się w dziedzinę bajek. Nauka, pogoń za wiedzą, często odczuwają męki Tantala, wyciągającego ręce do owoców, których nigdy nie dosięgnie. I dobrze że tak jest. Gdybyśmy nigdy nie byli w błędzie, gdybyśmy nieomylny klucz posiadali do wszystkiego, nie byłoby dążenia do postępu i prawdy i dlatego kłamstwo w nauce jest siłą pchającą do światła.

W sztuce, w literaturze jest ona dominującą. Oto parę przykładów: „Tymon Ateńczyk" powinien mieć za autora nietylko Shakespeare'a lecz i Lucyana, — „Clavigo" — Baumachais'a i Goethego, — „Natan"—Lessinga i Bocaccia. Autor, poeta, któremu wolno kraść gdzie chce i co chce, jest kłamcą *par excellence*. Plato już zwracał na to uwagę, że kłamstwo i poezya to są pokrewne sztuki. Wymagamy od poety żeby zwykłe, brutalne życie omijał, albo mu przeczył, żeby nie dotykał ran szpetnych naszego istnienia, wymagamy żeby był miłym kłamcą, czarodziejem.

Martwa natura, np. namalowany kawałek sera, jest kłamstwem, serowi brakuje przykrej woni. Młoda dziewczyna, taka nawet, jaką naturalistyczni opiewają poeci, — dziewczyna — jutrzenka, pączek, wdzięk, cnota i piękno, niepodobna jest do najlepszej młodej dziewczyny z rzeczywistego życia.

A czy istnieje prawda w tak zwanej sprawiedliwości? Sędziowie męczą się zazwyczaj nad tem, aby wydobyć prawdę ze świadków, lecz gdyby sędziowie pomyśleli o tem, że każdy człowiek ma inny punkt widzenia, inaczej zbudowane tkanki mózgowe a co za tem idzie, w różnym stopniu dar obserwacyjny, wtedy nie byłoby w tem niczego dziwnego, że zeznania świadków różnią się pomiędzy sobą. Sędziowie szukają najczęściej po omacku. Jakże często zdarza się, iż w lat kilka po osądzeniu pozornie winnego, traf jakiś nieprzewidziany wykazuje jaknajdowodniej niewinność nieszczęśliwego.

W takim razie przysięgli skłamali i sprawiedliwość skłamała. Słusznie bardzo symbol sprawiedliwości, boginię Temidę, przedstawiają z zawiązanemi oczyma; sądzi ona ślepo, a więc nieprawdziwie. Artysta, który ją stworzył, musiał być satyrykiem. A czyż można nie stać się takim, gdy np. w sądzie składa przed krzyżem przysięgę człowiek, nie mający ani źdźbła wiary w duszy?

Jeśli więc w świecie nauki, sztuki, sprawiedliwości, prawdy są chwiejne i narażone na możliwość obalenia ich i zastąpienia innemi, to cóż dopiero dzieje się w świecie uczuć?

Dwudziestoletni młodzieniec zapewniając swą wybraną, że ją kocha — mówi prawdę,— a kiedy po dziesięciu latach przyznaje, że już nic dla niej nie czuje, mówi także prawdę, albowiem uczucie jego uległo zmianie.

Czy kłamie ten, kto dziś pogardza tem, co szanował wczoraj? kto jutro uwielbia to, co przeklina dziś?

I w uczuciach i w sercu są: postęp, omyłki, metamorfozy, poprawy, zmiany i t. p. Kto ludzką duszę zna, wie, że podobna ona do wielkiej budowli, w której nigdy spokojnie kamień na kamieniu nie pozostaje, lecz przy której wiecznie, bezprzestannie, coś się przebudowuje, zmienia, rozszerza, obala, — że im dusza głębszą jest, bogatszą, tem więcej cierpi od licznych sprzeczności, — że im wyżej, im silniej się własną duszę ceni, tem mocniej się ją przed ludźmi zasłania, i aby ją przed nimi uchronić maskuje się ją, otula powściągliwością, która niekiedy z kłamstwem graniczy.

Bywają pełne artyzmu, problematyczne natury, które zwykły pokrywać najlepsze swoje uczucia — a jeśli kiedy przez zbieg jakichś ku temu prowadzących wypadków, uczucia swoje zamanifestują, wstydzą się ich i ta wstydliwość właśnie tem więcej znagla ich do kłamstwa.

O konwencyonalnych kłamstwach, któremi od wieków przesiąknięte jest życie towarzyskie, o kłamstwach z próżności, służalczości, plotkarstwa, tchórzostwa, zazdrości, złośliwości, chciwości i t. p. spisano już tomy całe nie gwoli temu, żeby fakt potwierdzić, lecz gwoli etycznemu zreformowaniu życia. Daremny trud. Chcieć odzwyczaić kulturalnego człowieka od kłamstwa, jest takiem samem

„donkiszotowskiem“ przedsięwzięciem, jak chcieć człowieka odzwyczaić od jedzenia. Gdyby za kłamstwo istniała kara śmierci, niewiadomo, doprawdy, ktoby pozostał na świecie.

Tylko sposób kłamania bywa różny. Kłamstwa: klasowe, narodowe, religijne, społeczne, życiowe. Ludzie wyzyskujący biedaków, niemiłosierni, okrutni, nazywają się chrześcijanami, a przecież chrześcijaństwo jest religją miłości bezmiernej.

Tak zwane „utarte słowa“ i przysłowia kłamią tak samo. O nich możnaby powiedzieć, że kłamią jak z książki. Takie zdania jak: „Co się odwlecze, to nie uciecze“, „co nagle to po djable“, „wszystko zrozumieć to wszystko przebaczyć“, „kogo Pan Bóg stworzył tego nie umorzył“, i t. p. są nie tylko nieprawdą — ale nadto, dla głupich ludzi nieszczęściem.

Ludzie ogólnie powtarzają sobie, że kłamstwo, zwłaszcza z nizkich pochodzące pobudek, jest grzechem, ludzie pobożni mówią że jest grzechem przeciw Bogu, ale nawet najpobożniejsi mniej boją się Boga niż policyi, dobrze położonych znajomych i swoich chlebodawców.

Zofia Seidlerowa.

Eugenia Żmijewska.

PŁOMYK.

CZĘŚĆ TRZECIA.

TOM DRUGI.

XVIII.

Dola straciła już nadzieję usłyszenia wyroku o swoim artykule.

... Może redaktor go zgubił, a może zapomniał przeczytać. Nie śmiała go nudzić pytaniami. Był tego dnia bardzo zajęty i unikał jej widocznie.

... Może artykuł nic nie wart, a on za delikatny, żeby jej to powiedzieć.

Z pewnością tak jest — utwierdzała się w swoich przypuszczeniach.

Van Niecki bał się istotnie powiedzieć Doli prawdy, ze względu na jej stosunki. Udawał, że ma nawał roboty, biegał z pokoju do pokoju.

Każde skrzypnięcie drzwi przyśpieszało tętno jej serca.

Już chciała wychodzić, gdy poruszyła się znowu klamka.

Do pokoju wszedł Płaton.

— Więc pani lubi niewolę? — zagadnął.

Nie mogła zrozumieć do czego zmierza.

— Czytałem, co pani popisała o stanowisku kobiety do mężczyzny.

— Pan czytał?

— Tak, i ja, między innymi.

— Redaktor panu pokazywał?

— Jak było, o to mniejsza, dość, że radzę nie pisywać artykułów programowych.

— Czy ten był bardzo głupi?

— Bardzo.

— Doprawdy? I, jak pan myśli, nie nauczę się nigdy pisać?

— Trzeba wpierw nauczyć się myśleć.. Zaraz łzy w oczach.. Po co?

— Wolałabym, żeby się panu podobało.

— I jabym wolał, żeby było inne: pisze pani, jak nieinteligentna pensyonarka...

— Czy i styl niedobry?

— Samo pytanie dowodzi bezmyślności.

— Co to, to nie. Myślę bardzo dużo — za dużo nieraz.

— O miłości, o mężczyznach, którzy „prawie nigdy“ nie są źli... Cóż to? Zapomniała pani o mnie?

— W ostatnich czasach pan był dla mnie bardzo dobry.

— Popsuję się znowu, bo człowieka pasya bierze. Taka panienka niczego się nie nauczyła, nie ma pojęcia o życiu, i chwyta za pióro.

— A nauczyć się życia nie można?

— Nie można, jeśli się niema zdolności.

— Mój Boże więc ja jestem do niczego?

— I owszem jest pani do wstawienia pod klosz.

— Jaki pan dla mnie znowu niedobry!..

— To trudno — na klosz mi nie starczy...

Spojrzała na niego z wyrzutem. Odwróciła się i szła ku drzwiom.

Zastąpił jej drogę.

— Pani — zaczął takim głosem, jakgdyby miał jej powiedzieć coś przykrego jabym... jabym chciał, żeby pani było dobrze na świecie... tak mi pani... Et! co tam!... I jeszcze jedno — niech pani nie daje swoich wypracowań redaktorowi—mnie można.

— Przecież mi pan mówi, że pisać nie warto.

— Toż pani wie — ja jestem bryś... ja zawsze muszę komuś dokuczać — podła natura...

— Więc mogę jeszcze próbować z tem pisaniem?

— A niech pani próbuje. Zobaczymy.

W kilka dni potem przyniosła mu nowelę...

Gdy po godzinie wszedł do pokoju, w którym siedziała, dość jej było rzucić okiem, na niego, żeby spostrzedz, że nie przynosi jej pochwały.

— Czy pani sama nie czuje — mówił — jakie to śmieszne, ten Antoś, który po utracie wiary w kobietę, dostaje gorączki i woła: „Serce mi wydrenujcie“. I odrzuca lekarstwa, i wrzeszczy: „Nie chcę pić złudzeń! To trucizna. Wylejcie za okno — niech się nikt nie truje“... Niema w tem prostoty, prawdy.

— A ja to nawet wzięłam z życia. Znałam takiego studenta, który w kobiety nie wierzył.

— Pani go zdradziła?

— Wcale nie ja — nawet nie on sam doznał zawodu, tylko jego kuzyn.

— I tkliwy młodzian tak to wziął do serca, że dostał tyfusu i drze się w gorączce: „Mówiła na zawsze! Czem one to mierzą? Edzio głupi ufał — ja głupim nie będę!“ I w miejscu tem zaśmiał się przeraźliwie.

— Niech mi pan odda zeszyt.

— Jeszcze się pani będzie obrażać! — burknął.

— Nie obrażam się, ale mi przykro.

— I mnie było przykro, kiedym czytał te bajania... A i złość mnie brała — bo mogłoby to być nie złe. Pani sama psuje własne pomysły... Weźmy tytuł: napisała pani: „Dlaczego Antoś nie wierzy kobietom?“ To było zupełnie dobre. Ale nie — wydało się to pani zanadto zwyczajne. Więc dalej że się smarzyć nad czemś innem. „Laboratoryum w sercu“. Na szczęście, tego nawet pani sama przełknąć nie mogła. Nowe namysły i wreszcie — tytuł pompatyczny, łaciński: „*Nostra maxima culpa*“. Dość to przeczytać, żeby całą nowelę rzucić do kosza. Najciekawsze są przekreślania i poprawki.

— Nie miałam czasu przepisać. Chciałam to panu oddać jaknajprędzej. A teraz żałuję.

— Wcale niepotrzebnie. Są tam odbłyski... nie powiem talentu — ale jest w tem coś... Choćby motto — pani lubuje się w mottach: „Jeżeli mężczyźni nas nie szanują, uderzmy się w piersi“... Dość głębokie, jak na taką pannę. A wreszcie zakończenie: „Wyzdrowiawszy, Antoś powiedział sobie: Jeżeli *to* ludzie nazywają miłością; jeżeli kobiety — *to tylko tyle* — po co je kochać. Będę je lubił — to wystarczy“.

— Niech-no pani się przyzna — mówił Płaton, zamykając zeszyt — czy to pani sama pisała?

— Zupełnie sama, ale słyszałam takie zdanie kiedyś — z ust znajomego studenta.

— Otóż to właśnie! Mało wyobraźni. Będzie pani zawsze opowiadać rozmaite anegdoty o znajomych. Szkoda atramentu, nie mówiąc już, że źle być znajomym takiej panny.

— To już widzę, że naprawdę pisać nie warto.

— Warto, nie warto, niech pani pisze.

— Bo ja mam jeszcze różne tematy. Czy mogę panu przeczytać?

— Co mam robić? Wysłucham.

— To niedługie — treść, program i tytuły:

„*Dlaczego Tycia nie wyszła za mąż?*“

— Pani lubi zapytania w tytule. No, więc dlaczego?

— Założeniem moim przedstawić kobietę, która gwałtew chce wyjść za mąż...

— Królowa Bona umarła.

— Mój drogi panie, proszę mi nie przerywać, bo ja zaraz tracę głowę. — Otóż: „chce wyjść za mąż gwałtem, bo nic robić nie umie i nie chce — a siostry podrastają, rodzice nie mają dość środków, żeby trzy panny w świat wprowadzać. Tycia pozbywa się coraz bardziej ambicyi i sama się oświadcza“...

— Morał taki: panny żyją na to, żeby je w świat wprowadzać! Na Ukrainie zapewne nikt nie słyszał o sprawie, która się nazywa kobiecą. Pani nawet nie wie, czy to się je, czy to się pije. Prawda?

— Po co wyśmiewać. Lepiej odrazu powiedzieć, że nic nie warte.

— Przepraszam! Więc moja rada taka: pozostawmy lepiej Tycię własnym losom. I cóż tam pani ma jeszcze w konspektach?

— Tytuł: „Nie była szczęśliwa“. Motto:

— Ma się rozumieć! Ach już nie, nie, będę grzeczny.

„Napróżno wmawiamy w siebie, że podług wszelkich danych powinniśmy być szczęśliwi. Gdy nie mamy do tego zdolności, nie nabędziemy jej nawet wśród krain mlekiem i miodem płynących, tak jak człowiek pozbawiony muzykalnego ucha, nigdy w takt tańczyć nie będzie“.

— To już daleko lepsze! Dziwne z pani stworzenie — niby głupiutkie — ach! przepraszam! — a jednak to mysli, zastanawia się nad życiem, choć go nie zna i wśród banialuków napisze nam coś takiego, że... czołem.

— Doprawdy! Jak mnie to cieszy! I niech pan nie przypuszcza, że ja umiem pisać tylko o miłości. Mam tutaj taki temat: „*Chłopska sielanka*“. Wyszła za mąż za pijaka. Wstyd zostać starą dziewką. Opis wesela. Potem mąż złamał żebro. Sąd usprawiedliwił“.

— Czytająca publiczność będzie surowsza od sądu. Pani tego napisać nie potrafi.

— Czemu mnie pan znowu zniechęca! Ja chcę, ja muszę pisać. Od dzieciństwa miałam do tego skłonność... A teraz, pan nie wie, to dla mnie...

— Moje drogie paniątko! No i co ja mam powiedzieć? Gdyby pani była brzydsza, radziłbym wyleźć z mgły, oczy przetrzeć, spojrzeć na świat trzeźwo, pisać, drzeć, znowu pisać, a co się napisało, chować do biurka, i czekać aż się odleży—rok — dwa. Ale tak jak jest... Co tu gadać — psi los takiej ślicznej dziewczyny... I nic, nic poradzić nie mogę... Człowieka dyabli biorą...

. . . .

Próbowała oczy na świat otwierać, próbowała pracować nad sobą jak gdyby była brzydszą. Nie zdało się to na wiele. Inni zapomnieć nie mogli, że jest ładną...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Powiem ci...

A kiedy chcesz, to powiem ci,
Dlaczego w uszach naszych brzmi
Tak wdzięcznie polska mowa
Gędziebna... mądra... Mowa—cud!
— W duszy ją swojej począł Lud,
Niańczyła dal dziejowa.

Głucho Lechowy szumi bór,
Hukaniem tłumy dają wtór,
Mrowią się groźne woje,
Tętentem stąpań echo drga —
Goplana fala cicho gra
I pszczelne brzęczą roje.

Gęślarz potrąca struny lir —
Z pod chmur dolata orłów skwir,
Chrzęszczą rozwiane sztandary,
Zbrojne zastępy biegą w cwał:
Zgiełk przedbitewny... świsty strzał...
Szept modłów nowej wiary...

A potem ciągły bojów grzmot —
Niemiecki twardo wali młot,
Polska oddzwania szablica...
Hussarskich skrzydeł szumi wiew—
Tam, gdzie ofiarna płynie krew,
Bije hymn «Bogarodzica...»

I tak przez wieki, lata, dni,
Co naród czyni — kocha — śni —
To w Mowie składać będzie...
Aż przyjdą Wieszcze — Boży dar! —
Ci, słów splątanych wezmą gwar
Na czarów swych narzędzie.

Hej! brzmi królewska, wielka Pieśń!
Potokiem dźwięków — zmywa pleśń,
Co z życia pada w dusze,
Pobudką — wskrzesza czynu moc,
Krzykiem—się wdziera w drzemki noc,
W hejnał rozśpiewa — głuszę!

I to dlatego, wierzaj mi,
Tak słodko w uszach naszych brzmi
Prastara ojców mowa:
W duszy ją swojej począł Lud,
Żywił pokoleń krwawy trud,
Niańczyła dal dziejowa!

T. Prażmowska.

Z piśmiennictwa.

„Paraklet”

poemat dramatyczny w czterech aktach. Napisał Władysław Poświat. Okładkę rysował A. Gawiński.

Książka, do której się powraca... Po przeczytaniu nie odrzuca się jej, jako niepotrzebnego balastu, który miejsce zajmuje w bibliotece, a nic już więcej dać nie jest w stanie.

Bo naprawdę dwa są rodzaje książek. Ci znajomi z widzenia, spotkani raz na krótko, a którzy odrazu powiedzieli wszystko co mają do powiedzenia. I ci przyjaciele dobrzy, ci, co nam swą duszę wyznają powoli, w długich poufnych rozmowach...

Ci, do których się powraca...

Taką książką, do której się powraca, jest *Paraklet*.

Z razu — chaos. Nie możemy się zoryentować w ogromie wizyi poety, nie weszliśmy w jego metodę abstrakcyjnego myślenia, przeraża nas głąb ducha, ciemna, zawrotna przepaść dociekań filozoficznych i ta śmiałość z jaką rozwiązuje najgłębsze zagadki religii.

Potem w *Paraklecie* odnajdujemy się powoli. Już rozumiemy do czego dąży poeta, już z nim możemy iść razem w głąb niepokojących zagadek. A chaos, który nas przerażał i niepokoił, jest teraz jasną, wyraźną treścią ducha.

*
* *

Dramatem tu jest — *szukanie Boga*. Zda się, temat na traktat teologiczny, na studyum psychologiczne, na rozprawę filozoficzną, lecz nigdy na dramat na akty podzielony, w którym musi być akcya, a nawet bajka — osnowa, który musi mieć określony czas i miejsce.

A jednak Poświat potrafił swoje najbardziej abstrakcyjne rozumowania, najfantastyczniejsze wizye, najbardziej oderwane, dalekie od rzeczywistości nastroje, zakląć w for-

mie dramatu, podzielić na akty, i w przepysznej, bogatej oddać formie artystycznej *Parakleta* się rozumie tylko o tyle, o ile w chwili obcowania z książką, nastroiliśmy duszę na ton głębokiego uduchowienia, niemal patosu. Wtedy symbole nam się tłomaczą same przez się, tajemnice strof wyświetlają się, głęboka dusza utworu wyznaje nam swą treść.

Zaiste, trzebaby czytać *Parakleta* jak mnich średniowieczny czytał księgi religijne w pustej, zimnej swej celi klasztornej...

*

* *

Ziemic szuka Boga, pragnie szczęścia dla siebie, dla ludzi, i modli się do Boga:

Czyń mi dziw!
Daj ujrzeć raz Twą twarz...
Wpiję w nią bezdeń mych źrenicznych szkliw
I wszystką Miłość, którą masz
Zaniosę w szczęście — im!
Synom Twym!

A gdy piorun tylko jest mu odpowiedzią przeklina Go:

Przekląłem Boga!
Ale — Ten
Co we mnie żyje, co mnie wiecznie syci
Bo strzeże mego proga...
Ja tego Boga chcę, choć spowit tajną gęstwą

I będzie dalej pytał, bowiem Ziemic to Duch-Tęsknota. I gdy mu się jawi Chrystus na krzyżu rozpięty, tak mu się skarży:

Cóż, że nam dałeś swą Miłość — Cierpienie
Gdy męka ducha wciąż żenie!
Cóż, żeś pozwolił ćwiek gwoździć w swe ciało
Miłość zabrałeś w zwyż.. Cierpienie nam zostało.

Jest to jedna z najgłębszych myśli filozoficznych, jaka powstała w wyobraźni artysty Chrystus ukrzyżowany, Chrystus cierpiący, krzyż, męka, zasłania ludzkości ideę miłości, którą Chrystus głosił na ziemi. Rytuał, dogmat, historyczny fakt, zabija wzniosłość chrystusowego znaczenia, głęboki sens świętej uczuciowej puścizny.

I oto sam rdzeń poematu. Ku wyświetleniu tych pojęć będzie szedł autor.

Ziemic rozmawia z Lucyferem, wyznaje mu swój ból, swe pragnienia:

Wszystko mi wieści, że blizki Dzień Ducha
Kiedy się Niebios ramiona rozplotą
Z tęsknotą ziemi w pieśń się zwiążą złotą.

Lucyfer szydzi: „Tęsknota twoja — to ducha przekleństwo, Tęsknota twoja — to serca szaleństwo“. Ale Ziemic czuje, że jego tęsknota — to znamię boże, bo Tęsknotą na ziemi był także Chrystus...

I choć mu Lucyfer wróży, iż w głąb runie jak rozpękły dzwon, w swej drodze ku prawdzie, oddala się w „Sen — miłości“ — aby poznać Pana świata i wydrzeć mu tajemnicę ludzkiego szczęścia.

Następuje jedna z najpiękniej obmyślanych scen w dramacie i zarazem jedna z najpoetyczniejszych kart literatury naszej. To sąd nad Bożenną. Urąga jej tłum, złorzeczy świat, obwiniają ją o to, co jest w niej prawdą i boskością. „Ażali czar mój jest mą winą, sędzie? cóż kwiat zawinił, że wonie swe przędzie“, mówi im ta dziewica czysta, po której licach „myśl boża szeleści“. „Ją wszak zrodził świata ból“ a matką jej była „nieb tęsknota“. „Wam to, wam ludzie bez serc i bez czucia mam tajnie ducha mego spowiadać?“ — żali się. Następuje spowiedź:

Pieściłam mchy, że w ciszy kornie klęczą...
Pieściłam mchy, że nocy ścielą leże...
Pieściłam mchy, że w mgłach błyskają tęczą..
Pieściłam mchy, że milczą swe pacierze...
Tuliłam paproć, bo poszumna...
Tuliłam paproć w dłonie obie...
Tuliłam paproć, bo zbyt dumna:
Kwitnie raz... w nocy... samej sobie...

Tłum słucha — zaparł tchnienie:

A od paproci... od mchów bardziej
Kochałam irys czarnozłoty...
Że w noc się tuli, a dniem — gardzi!
Że w tajniach modli swe tęsknoty.

Niezrozumianą przez sędziów jest Bożenna, tak niezrozumianą jak myśl buntownicza, myśl zuchwała, najgłębsze prawdy ducha głosząca, niezrozumianą będzie zawsze przez tłumy. Piorun... sędzia rażony pada... Bożenna stoi jak srebrny kłos w pożarnej czerwieni stosu.

*

* *

Rozmowa Boga z Synem — to akt tak natchniony, tak śmiały, tak silny, iż pomysły te zgodzić się mogły tylko w wyobraźni poety z bożej łaski. Bóg chce dać Chrystusowi władzę, by On odtąd ludzi sądził. Lecz Chrystus odmawia: „Jam nie zwycięstwem jest, lecz skargą“ i przyrzeka: „Nadejdzie czas, a zbędę — krzyża“ — czyli stanie się tylko ideą, abstraktem, uczuciem, samą miłością.

Akcya, o ile tak nazwać można bujanie w sferze czystego abstraktu, gdzie głos swój ma np.: sen, cień, myśl, rozwija się dalej z logiką i harmonią i dąży do najwyższego napięcia swego, do syntezy, do aktu trzeciego, w którym to odbywa się komunia dusz, mowa najświętsza, którą nad Ziemicem i Bożenną odprawia sam Chrystus.

Sceną tem silniejsze robi wrażenie, iż poprzedza ją usymbolizowane potępienie wszystkiego co jest martwą, katechizmową formułą. „Pontifex“ nie rozgrzesza Bożenny, bowiem „miłość jest moją wiarą!“ wyznaje dziewica. A „pontifex“ poucza, że wierzyć trzeba, bo miłość może być czczą marą, cieniem złudnym... mamidłem... I nie rozgrzesza Bożenny...

Ale za to czyni to Chrystus i nietylko rozgrzesza, ale uświęca miłość.

Jest to symbol tak wzniosły, ekstaza duchowa tak piękna, iż apoteozę miłości aktu trzeciego mógł skreślić tylko poeta w takim nastroju ducha, w jakim braciszek średniowieczny malował na klęczkach Najświętszą Panienkę.

Ziemic modli się:

Kocham Cię, Panie!
Oto mię szczęście upaja w obłędy!
Drżę wszystek! Drżenia mojego oprzędy
Niosą mi duszę — w słońc rozkołysanie.

I za objawienie „świetych tajemnicy haseł“ ślubuje Chrystusowi miłość:

I odtąd z serca wonnych trybularzy
Słać będę k' Tobie hymny rozklęczone,
A każdy promień, co tryśnie z mej twarzy,
Wsłonecznię w Twoją królewską koronę...

A Chrystus „piękny swą bożą miłością“ błogosławi ich i łamie Hostyę, chór duchów śpiewa nad nimi głębokie, ciche pieśni upojenia... Serafin głosi, że „całowanie dwóch dusz się odprawia i dusza duszę w całunku tym zbawia“.

A Ziemic szepcze do Bożenny, do owej dziewicy po której licach „szept aniołów płynie“

Daj dłoń...
świątynną pachnie miętą...
Daj mi złotawę,
Ócz jesienną...
Daj skroń...
iglicą srebrna spiętą...
Daj mi bezłzawe
Twych ust lenno!

U stóp chrystusowego krzyża klęczy Miłość — w Wieczność roztęskniona. Bo Chrystus, to już nie symbol *Cierpienia* lecz symbol *Miłości*.

Jest to chwila, w której powinna się ziścić Ducha tajemnica, powinien spłynąć Paraklet — ów duch pochrystusowy, wcielenie najbardziej abstrakcyjnej, najgłębszej, duchowej idei. Chrystus bowiem czuje, że „dokonało się królestwo Tęsknoty jego“.

Chrystus:
Oto się dokonało —
Królestwo mej tęsknoty!
Krew moją... moje ciało
Wwiedź — na gościniec złoty

Gdzie Płomień... Jasność... Czar!
Gdzie wiecznie gości
Z darów — najświętszy dar
Miłości!

Bóg i Syn toną w sobie najgłębszą Ducha tęsknotą i napływa znowu Sen o Szczęściu... Tron i Krzyż — owe niepotrzebne emblementa, które przesłaniają ludziom właściwą ideę boską, ideę religii, płoną, goreją, ćmią się, dogasają, wreszcie runą w popielne zgliszcze...

Miłość zwyciężyła! Miłość sama królować będzie!

*

* *

Ukuć dramat z oderwanych pojęć, i wydobyć plastykę z abstrakcyjnych wizyi — było natchnioną pracą ducha. Po za tem, zewnętrzna, artystyczna budowa poematu jest jednym więcej hymnem na cześć bóstwa, któremu z takiem uwielbieniem służy artysta... Rym jest twardy, to giętki, śpiewny, to spiżowy, zależnie czem dusza poety w danej chwili wibruje. Gdy Ziemic przeklina Boga, wiersz jest twardy, niezłomny jak skała, który leci w głąb przepaści, napełniając powietrze echowym gromem. Gdy bije święta godzina miłości Bożenny i Ziemica — dusz bratnich, rozmiłowanych w sobie do dna — wiersz pieści ucho jak muzyka fal jeziornych, bijących o kwietne brzegi...

*

* *

Nie może tu być mowy o religijnym, lub antireligijnym duchu utworu. Tam jest religja gdzie jest uczucie, służba wierna Miłości, ekstaza płomienna, pragnienie Prawdy i Czystości.

„Marzenie duszy — to prawda najświętsza“ mówi w poemacie św. Jan. I te słowa możnaby użyć jako motto *Parakleta*.

Poświat, niby klamrą złotą, spina poemat tem wyznaniem:

A ty, o Duchu, dasz świadectwo słudze,
Żem cię ukochał w Prawdzie i Światłości
Bo kiedy kląłem w mąk ognistej strudze...
Kąpałem ducha, krew, ciało i kości...
Kiedym cię dotknął — czułem, że nie brudzę
Gdym tron twój kruszył—niosłem w wysokości
Tyś mi przebaczył... słowom dał miecze,
Bym twarz twą wświecił w myśl, w serce
człowiecze.

Zuzanna Aleksandra.

GŁOSY CZYTELNICZEK.

O szkodliwości strusiej polityki w wychowaniu.

MATKA DO MATEK.

(Dokończenie).

Dzieci, obznajmione właściwą drogą z procesem powstawania żywej istoty, nie dopatrują się — mówię o tem na zasadzie licznych własnych i cudzych wiarogodnych obserwacyi — żadnego związku tych zjawisk z kwestyą różnic płciowych, które pozostają dla nich na długo rzeczą obojętną. Co więcej, dzięki otrzymaniu na razie wystarczającego wyjaśnienia naukowego swoich pytań i wątpliwości, nie wracają wcale do tego tematu. Znalazły zupełne zaspokojenie swej ciekawości, która też naturalnem prawem prężności umysłu dziecięcego w innym zwraca się znów kierunku. Rozumny pedagog — oby była nim jaknajczęściej matka —potrafi właściwość tej psychiki dziecka we właściwy wyzyskać sposób.

Na tem właśnie zaspokojeniu ciekawości jednych dzieci, zgodnem z prawdą, naukowem wyjaśnieniem, a pobudzeniem, zaostrzeniem żądzy poznawczej innych przez nadanie całej sprawie charakteru zakazanej tajemnicy, cała polega zrazu różnica między racyonalną a niedorzeczną pedagogiką.

Gdy dla dzieci rozumnie i ostrożnie uświadomionych przez kochającą matkę proces życiowy jest conajwyżej źródłem przyrodniczego zaciekawienia i najczęściej pobudką do odczuwania podwójnej miłości i wdzięczności dla rodzicielki, która tyle dla nich wycierpiała i z którą fizycznie tak ściśle są związane, — tracą drugie odrazu całe zaufanie do matek, które je okłamały, nabierając natomiast bezwzględnej wiary we wszechmądrość kolegów lub koleżanek w rozmowach, w których zaczynają znajdować upodobanie, ucząc się szukania podniet erotycznych w cynicznych pornograficznych opisach.

Zadanie stadyum następnego (zazwyczaj przypada ono mniej więcej na rok 12 życia dziecka) polega na analogicznem obznajmieniu dziecka ze sprawą rozmnażania żywych istot, a szukając przykładów np. na kwestyach różnorodności pierwiastków rodzicielskich — najlepiej zilustrować je na przykładach z botaniki. Przy rozpatrywaniu roślin kwitnących może być szczegółowo opisany i obficie zilustrowany na pokazach, wzajemny stosunek pręcików i słupków, tworzenie się owocu itp. Zaznajomienie się z rolą owadów przy przenoszeniu pyłku kwiatowego stanowi jeden z najciekawszych, a zarazem dla naszych celów najbardziej pouczających działów nauk przyrodniczych.

Po wyjaśnieniu powyższem zbytecznem będzie już chyba dodawać, że metody tu podanej nie można stosować szematycznie i ryczałtowo. Ścisłe indywidualizowanie, przystosowanie się do stopnia wrażliwości i poziomu pojęć każdego poszczególnego dziecka, a nadto przystępowanie do tych wyjaśnień prosto, szczerze i swobobnie, traktowanie ich bez fałszywego wstydu i niedopowiadań — są warunkami koniecznemi.

Dla tego też nie wolno nam od samego początku ofuknąć dziecka za „niewłaściwość“ pytania i poruszanie „nieodpowiednich“ tematów, lecz przeciwnie zachęcać i przyzwyczajać je winniśmy do śmiałego, szczerego dzielenia się z nami wszelkiemi jego spostrzeżeniami i wątpliwościami, a wówczas przyjmą one jak należy wszystkie nasze nauki i przestrogi, mające na celu zachowanie fizycznej i moralnej ich nieskazitelności.

Czysta moralnie atmosfera domowa, wolna od pruderyi i fałszywego wstydu, obłudy i drażniącego niedopowiadania, najlepiej nauczy dziecię patrzeć prosto i naturalnie na rzeczy naturalne, nie nadawać im cech dwuznaczności i sztucznego erotyzmu, kalających najczystsze zjawiska przyrodzone, zniepprawiających dusze i ciała.

Osiągnięcie wielkiej sumy dobra w waszych leży rękach, matki-wychowawczynie, jeśli zechcecie i potraficie umiejętnie i racyonalnie stosować pedagogikę i hygjenę seksualną.

Do was też, w imię wybawienia najdroższych wam istot, w imię ratowania ich ciała i duszy, zwracam się raz jeszcze, wołając wielkim, przeogromnym głosem: Zerwijcie raz na zawsze z fatalną, nieszczęsną metodą tajemniczości, obłudy, fałszywego wstydu i strusiej iście dotychczasowej waszej w obec dzieci polityki, a natomiast uczyńcie z całego waszego do nich stosunku nierozerwalną, wiecznie trwałą przędzę czystości, szczerości i prawdy.

Rezultaty takiego postępowania za najwyższą starczą wam nagrodę śmiałego waszego zerwania z zakorzenionemi, a tak fatalnemi w skutkach błędami przeszłości.

ST. PORAJ.

Idylla goździkowa.

(Ciąg dalszy).

Po chwili takiego, iście inkwizytorskiego badania, rzekła zwolna:

— W oczach pańskich czytam prawość i rycerskość, a więc powierzam się pańskiemu honorowi. Dziś wieczór wyspowiadam się przed panem jak przed bratem z moich

rozczarowań, smutków i pragnień. Będzie to długa i smutna spowiedź. Całe lata milczenia składały się na nią.

— Dziękuję pani za ten pierwszy dowód zaszczytnej ufności. Nie wiem czy zdołam, ale z serca chciałbym przynieść ulgę... Mam dla pani tyle czci, podziwu i życzliwości...

— Ma pan rozum subtelny, serce ludzkie i doświadczenie życiowe, potrafi pan może wrócić równowagę memu biednemu, staremu „ja“ targanemu przez tyle sprzecznych uczuć.

— Może pani być pewną, że całe moje doświadczenie życiowe i nabytą wiedzę, złożę w ręce pani, abyś z nich czerpać mogła, wedle sił i chęci.

— Dziękuję. A więc dziś wieczorem wprowadzę pana do państwa mego ducha. Od śmierci mej matki, nikt tam nie zaglądał, nikt nie był ciekawy sprawdzić, co się tam dzieje.

— Z tego, co pani mówi, widzę, że pani należy do natur skrytych, nie łatwo otwierających podwoje swego ducha przed wzrokiem ciekawych i tem dumniejszym się czuję, że mnie obdarzyłaś zaufaniem. Takbym chciał, żeby to już był wieczór. Rozumiem, że taka rozmowa, jaką mnie pani nasyci, potrzebuje odpowiedniego tła i nastroju.

— Prawda? jakże się cieszę, że pan tego nie nazywa kobiecym kaprysem, to, co mam panu do powiedzenia nie da się wymówić przy jasnym blasku słońca.

— Rozumiem najzupełniej pani drażliwość w tym względzie, nie w mojej mocy jednak jest pohamować niecierpliwość.

Smutny uśmiech przesunął się po jej wargach.

— Radzę panu poskromić niecierpliwość, nie dowie się pan odemnie nic nowego, opowiem panu „eine alte Geschihte“ nic więcej.

— W pani ustach, ta zwykła historya niezrozumianej zawiedzionej i tęskniącej duszy, przystroi się w srebro też i czarne perły ofiar, nie będzie więc tak powszednią. Zresztą pociąga mnie także, nowa rola samarytanina.

Niebieskie słodkie oczy spojrzały na mnie z wdzięcznością.

— Mówiono mi o panu że pan podbija kobiety dobrocią, nie wierzyłam temu — dziś widzę, przeczuwam rzeczej, że to prawda.

Pod jej jasnem, dziewiczem spojrzeniem, zrobiło mi się nie swojo. W tem co mówiła, było zdźbło prawdy. Lubiłem w stosunku do kobiet, posługiwać się dobrocią i wyrozumiałością, lubiłem przed niemi pozować na „dobrego mędrca“ który przy mocnem ramieniu, ma serce gołębie. Są kobiety, na które te dwa przymioty działają silnie, imponuje im siła, pociąga dobroć, a zwłaszcza do ufności skłania, a wszak mężczyzna, który zdobył zaufanie kobiety, ma utorowaną drogę do jej serca. Takim to grymasem istotnej dobroci, posługiwałem się, w moich licznych stosunkach z kobietami. Prawdziwa dobroć była jednak daleką odemnie, zwlaszcza w tej chwili, kiedy „instynkt męski“ szeptał mi, że za godzin parę, o zmroku wieczornym, usłyszę z jej ust spowiedź bolesną, może tragiczną, a w każdym razie szczerą, że to wyznanie wieczorne zbliży nas jeszcze bardziej. Myślałem o tem, że ją ujrzę spłakaną, drżącą, że będę miał sposobność pocałowania parokrotnego jej białych, delikatnych dłoni, że będę mógł zasiać w jej umyśle pierwsze ziarna buntu, wątpliwości i pożądania. Moja bujna wyobraźnia, przedstawiała mi tę chwilę siostrzanej spowiedzi, jako prolog, do wielkiego i rozkosznego „momentu psychologicznego”, poczułem miły dreszcz na samo wspomnienie o tem mojem problematycznem zwycięstwie nad panią Helą i myśli moje, a w ślad za niemi oczy, poczęły biegać po niej jak jaszczórki. Wzrok mój stał się palącym, wymowniejszym, starałem się przebić oczyma tę białą tkaninę, tak lekką i powiewną, która jednak kryła zazdrośnie wszystkie ponęty jej ciała. Przypomniałem sobie nagle, że nie widziałem jej nigdy dotąd w dekoltowanej sukni. I patrzyłem na nią natrętnym wzrokiem, który pali i bezcześci zarazem.

— Co pan się tak dziwnie na mnie patrzy, niech pan przestanie. Nie lubię takiego wyrazu w oczach pana, zdaje mi się, że patrzy na mnie młody Faun z obrazu Böcklina.

— Czy wtedy tak samo na panią patrzyłem? Chyba nie, pamiętam doskonale ten odraz, salę zalaną słońcem i panią w jasnym popielatym kostjumie. Wziąłem panią zrazu za Angielkę, ale potem dostrzegłem swoją pomyłkę, po bliższem przestudyowaniu rysów, przeczułem w pani rodaczkę, nie odgadłem tylko — mężatki. Tego dnia, wydałaś mi się pani tak dziewiczo młodą i czystą, że gdybym był malarzem religijnym, tobym swojej Madonnie dał pani twarz; niestety! moje złudzenie trwało krótko! Wkrótce potem przyszedł Jaś, zobaczył mnie zaraz, przywitał serdecznie, zamaszyście „po naszemu”, pociągnął ku pani, i przedstawił mnie swojej — żonie.

— Czar prysł prędko — zauważyła — teraz nie dziwię się, czemu pan zrobił wtedy w Monachium wrażenie człowieka anormalnego, był pan poprostu zły, że prozaiczna rzeczywistość rozwiała tę poetyczną legendę, jaką zaczynał pan o mnie tworzyć, czy nie tak?

— Istotnie tak było, zdaje mi się, że od owej chwili poczułem dla pani gorącą sympatyę, a dziś przeklinam los który sprawił, że nie ja, ale Jaś poznał panią pierwej bo inaczej...

— Bo co?

— Bo nie on ale ja byłbym dziś mężem pani, połączonym z nią nietylko ciałem, ale i duchem. Czyżby to nie było lepiej i harmonijniej, odpowiedz sama? — spytałem melancholijnym tonem.

Nie zdążyła mi dać odpowiedzi, bo nagle w pląsach i skokach podbiegło do nas dwoje dzieci. Otoczyły matkę i hałaśliwie, jedno przez drugie, poczęły jej mówić dzień dobry. Dzieciaki były śliczne, jak zwykle biało ładnie ubrane, z włosami w loczkach, co je czyniło podobnemi do rafaelowskich cherubinków, lubiłem je bardzo, w tej chwili jednak wyznaję to z całą szczerością, miałem wielką ochotę, skręcić te dwa złote, ufryzowane łebki.

Na pani Heli pojawienie się dzieci, sprawiło piorunujące wrażenie, przybladła silnie, oczy jej pociemniały, rysy zesztywniały, długą chwilę nie odpowiadała dzieciom, które jej coś żywo opowiadały o figlach psa Lorda z kotem.

Wreszcie, ochłonąwszy z pomieszania, spytała tłumionym głosem.

— Czy tatuś wrócił już z pola?

— O już! tatuś pije teraz śniadanie i wysłał nas abyśmy mamusię odszukali i sprowadzili. No, choć mamo, tylko prędzej, bo tatuś czeka a wiesz że tego nie lubi — oświadczył z powagą sześcioletni malec, ciągnąc matkę rezolutnie za rękę.

— Co mamusia taka biała na buzi? — spytała mała Lila.

— Głowa mnie bardzo boli.

— Niech mamusia się nachyli, pocałuję cię, to zaraz boleć przestanie.

Pani Hela godzi się rzeczywiście na takie sympatyczne lekarstwo, klęka przed córeczką, ta zarzuca jej na szyję różowe, tłuste, łapki i całuje matkę parokrotnie głośno w czoło. Poczem pani Hela podnosi się, ale jakaż zmieniona, oczy jej błyszczą, na twarzy ma wypieki, jest widocznie podniecona — mówi szybko:

— Zostańcie tutaj, pozbierajcie resztę goździków, zaraz wam tu przyślę nianię. Nie zawalajcie tylko sukienek,— upomina z nałogu po macierzyńsku i mówiąc to, schyla się, bierze pęk kwiatów, poczem nie spojrzawszy nawet na mnie, zawraca ku domowi.

Poszedłem za nią, dogoniłem w cienistym, lipowym szpalerze i pytam:

— Co pani?

Podnosi na mnie oczy rozszerzone, napół przytomne, i wybucha:

— Może się pan chyba domyśleć co się ze mną dzieje? Jestem w męce... potrzebuję chwili spokoju...

Ukłoniłem się jej w milczeniu i skręciłem w boczną ulicę, chcąc dalszą drogą iść do dworu. Odgadłem, że pani Hela przechodzi ciężką chwilę walki między bezwzględną uczciwością i wiernością małżeńską, a burzącemi się w niej pragnieniami wykroczenia przeciwko nim. To było w przewidzeniu, że ona nawet na krok tak niewinny jak ta zapowiedziana wieczorna spowiedź, nie zgodzi się bez walki z własnem sumieniem. Tak, ale ja jej w tem pomódz nie mogę, myślałem, zbliżając się ku domowi. W każdym razie niema żadnej dobrej racyi, aby ja z tego powodu nie pił dzisiaj śniadania, a czuję nawet wilczy głód, wiadomo, nic tak nie zaostrza apetytu, jak lekkie wzruszenie erotycznej natury. Żal mi tej biedaczki, to prawda, ale sama sobie winna, po co się truje z powodu takiej błahostki. Widok dzieci, w chwili mistycznego flirtu wytrącił ją zupełnie z równowagi. Z tego widzę, że będę musiał popracować nad nią długo w odpowiednim kierunku psychologicznym, zanim ją nauczę brać życie ze strony pogodnej, heleńskiej. Może to i lepiej, zapełni mi ten flirt całe lato, które bez tego epizodu byłoby mocno monotonne.

Z temi myślami wszedłem do jadalni.

Przy stole, zastawionym różnymi przysmakami, wygodnie rozłożony w wysokim dębowem krześle, siedzi Jaś. Na mój widok dźwiga się leniwie, bierze mnie w ramiona, a potem przykłada do moich policzków, swoje

grube, wilgotne wargi. Te same wargi, które całują Helę i to jeszcze jak!...

Robi mi się nagle obrzydliwie, wprost głupio...

— Cóż to za epokowe zdarzenie, nasz literat raczył zejść na ranne śniadanie, i w ogrodzie podobno już byłeś? — mówi grubym, basowym głosem.

— Nie chwal mnie proszę, moje dzisiejsze ranne wstanie jest w zupełności zasługą twojej żony, która tak wymownie opisała mi wczoraj urok wiejskiego poranku, że nabrałem ochoty zobaczyć to dziwo na własne oczy, — odparłem swobodnie.

— No i cóż? nie żałujesz fatygi.

— Bynajmniej! zobaczyłem przepyszne efekty świetlne, odetchnąłem iście dziewiczem powietrzem, podziwiałem kwiaty i trawniki okryte brylantami rosy, zaczynałem nawet marzyć w waszym pięknym parku, gdy nagle prozaiczny głód przypomniał mi, że w Rozwadowie dają kawę, o której możnaby pisać całe poematy, więc pośpieszyłem aby zaczerpnąć natchnienia z tego prozaicznego źródła.

— Żałuję, że Hela nie słyszy twego improwizowanego panegieryku na cześć kawy, byłaby prawdziwie dumną z pochwały od takiego sybaryty pochodzącej, no a jakże wydał ci się nasz ogród, jak go znajdujesz? — pytał niedbale.

— Jestem nim zachwycony, pomijając wzorowy porządek, bo to rzecz podrzędna, znajduję, że położenie jest umiejętnie wyzyskane, dobór i układ drzew i zadrzewień bardzo urozmaicony i doborowy, znać że od długiego szeregu lat zajmowano się waszym parkiem z prawdziwem zamiłowaniem.

(Dokończenie nastąpi).

Bądź błogosławiona.

Za czyste chwile nędznego żywota,
Za błogą radość, jaką cały płonę,
Za sny błękitne wraz z toba prześnione,
Za marzeń tęczę, co fantazyą miota,
Bądź pozdrowiona, bo twoja pieszczota
Jest tak dostojna, jak lilje zemdlone
Kiedy ku słońcu chylą swą koronę —
Ty, moja gwiazdo, rubinowo złota.
Za mego szczęścia anielskie momenty,
Za słów muzykę, co mi płynie z łona,
Za śpiew dziękczynny, którym rozmodlona
Dusza rozbrzmiewa, jak serafin święty,
I żem na ziemi był jak wniebowzięty
Kochając ciebie — —
bądź błogosławiona!

Jan Strauss.

Z listów do „Bluszczu“.

Kijów.

Sezon ogórkowy, wakacye — bilans całoroczny! Bilans dorobku duchowego na różnych polach społecznych w dziedzinie życia intelektualnego wogóle, a w szczególności życia kobiecego.

Oto temat do dzisiejszej pogadanki.

Gdy przed kilku laty wymawiało się w Kijowie wyraz „kobieta“ — był on synonimem tego, co piękne, lekkie i służy za zabawkę przedstawicielom płci brzydkiej — tej rzekomo silniejszej...

Wyraz ten przywodził na pamięć laleczki o buziach upudrowanych i uróżowanych, przystrojonych w ładne i modne gałganki, szczebiocące automatycznie o dzieciach, koncertach, cenach mięsa, lub wreszcie... flircie. To jedna kategorya. Za nią szła druga tak zwanych „kochanych pań“, garnirujących kanapy na five o'clockach, balach, reunionach, a zajmujących się gorliwie sprawami bliźnich, których ukochały więcej niż siebie, bo gdy w sobie nie dostrzegły plam, ani win — o dusze bliźnich swych dbały ze zdwojoną energią, walcząc językiem o ich zbawienie, choćby kosztem pogrzebania żywcem na tym doczesnym padole.

„Kochane panie“ wszędzie są jednakie — Kijów nie dał im specyalnych cech, chyba tę jedną, prowincyonalną — więc nie oryginalną. Taksowanie przyjaciół według ich rocznego dochodu, ilości służby i dań obiadowych.

„Kochane panie“ szturmem wtargnęły do Towarzystwa Dobroczynności, pod opiekuńcze skrzydła prezesa, księdza proboszcza i na tej pierwszej placówce społecznej, jęły rozwijać swe talenty funkcyonaryuszek dobroczynnych, niosących zapomogę ze skarbony publicznej.

Drapowały się przytem w omdlewające pozy aniołów opiekuńczych, w niedziele wysłuchując kazań księdza-prezesa, rozdmuchując w sercach płomień ekstazy pobożnej i miłości bliźniego. A miłość ta poczęła przejawiać się jeszcze w potrzebie tańczenia na biednych, odegrywania roli gospodyń na balach, majówkach i rautach. Zakotłowało się w pracowniach damskich, toalety sprowadzono z Paryża, bo misya „społeczno-filantropijna“ wymaga tak samo ram jak piękny obraz Mistrza. A że tam jakiś biedny chory umarł wprzód, zanim bal się skończył i pieniądze do kasy wpłynęły — to już nie wina ani gospodyń, ani kuratorek, ani zarządu!

Wszelako kobiety „działały“. I to była ta druga kategorya „kochanych pań“ szumiących jedwabiami i miłosierdziem.

Powoli, z falą choć chwilowej swobody — wypłynęła na wierzch trzecia kategorya — „działaczek“ rzeczywistych. W cichości istniała ona już dawniej. Nieliczna garstka kobiet ubierających się bardzo skromnie i wyglądającemi równie skromnie — ale natomiast zdająca sobie jasno sprawę z potrzeb duchowych swych sióstr, marząca o jakiejś wielkiej zorzy wschodzącej dla tych szaraczków, analfabetów błądzących w mroku... I zrodziła się „Oświata“, a w niej stanęły do apelu „kobiety ludzie“ nie wysuwając się w pierwsze szranki, im cichsze — tem więcej czynnące. Lecz i tu, niestety, jak prawie w każdej społecznej robocie — znalazły się antagonizmy partyjne, wstrzymujące rozwój zdrowych planów. Ale to jeszcze nie było to, na co „kobieta“ oczekiwała tyle wieków — krew jeszcze nie krążyła równomiernie po całym organizmie społecznym — pewne działy leżały odłogiem, oczekując oraczy.

I przyszły organizatorki „Koła kobiecego“, powołały do życia i pracy szeregi skromnych pracownic igły, nauczycielek, pracownic biurowych, sfederowały je w jedno duże Koło, dzieląc później na mniejsze, ucząc upominać się o własne potrzeby, ucząc solidarności, tak nieodzownej w życiu społecznem, a troszcząc się zarówno o byt materyalny, jak i duchowy i intelektualny.

„Koło Kobiet“ przez jeden rok swego istnienia zrobiło więcej, aniżeli Towarzystwo Dobroczynności przez cztery. Otworzyło ochrony dla dzieci, dało letnie kolonie w skromnej ilości, ale według stawu grobla, — zajęło się wyszukiwaniem pracy potrzebującym jej, a tworząc komplety, dla początkujących, zajęło się pokaźną liczbą analfabetek-sług, rozwijając w dalszym ciągu takie, którym nie obca już była książka.

Zwiększając swój fundusz, zorganizowało Koło kobiet szereg odczytów bardzo ciekawych, wymienimy tu bodaj Feldmana, Bukowińskiego etc. Stanowczo najruchliwszą instytucyą jest obecnie w Kijowie Koło Kobiet, a choć są usterki w jego działalności, jednak braku sprężystości i inicyatywy nawet należący do innego obozu odmówić mu nie mogą.

Pierwsze więc kroki „Związku“ były chwiejne i nie wróżą rozwoju sprawy, tembardziej, że Kijów i gubernie południowe nie są terenem dla pracy nie uwzględniającej narodowości, ogarniającej żywioły nam obce, szczodrzej uposażone od nas, tak, że skromna skarbonka Związku niewiele mogąc dać „wszystkim“ — swoim odebrałaby może ostatni grosz. Taki np. projekt szkół akuszeryjnych dla ludu w naszych guberniach, jest sam w sobie i ludzki i domorosły, ale napotyka dużo technicznych trudności u władz i jednocześnie obejmuje lud miejscowy niewiele mający wspólnego z naszą egzystencyą.

O ile „Koło Kobiet“ dało już realne dowody swego istnienia — o tyle Związek równouprawnienia, którego organizacyjne zebranie odbyło się w styczniu b. r. zaznaczył się u nas bardzo mglisto.

Kołu Kobiet zarzucilibyśmy to, że tworzyło nową instytucyę mogąc równie owocnie pracować w już istniejącem Towarzystwie Dobroczynności i Oświecie. Ale to już zarzut czysto platoniczny, bo, czyż w rezultacie nie wszystko jedno, komu ciemni, biedni i potrzebujący będą zawdzięczać ulgi i pomoc?

A że ambicyjki musiały odegrać w tem pewną rolę, z tem musimy się pogodzić, znając psychologię działaczy, która pomimo rzekomej ich wyższości nie różni się w tym wypadku od psychologii „działaczek“. A w każdym razie postępem nazwać można to, że w historyi próżności kobiecej nie kapelusz, nie krój pantofelka, lecz aspiracye bodaj do tytułu prezesowej odegrają swoją rolę. I Kijowianki są już na tej drodze.

Widz.

Przegląd teatralny.

Pisząc już poprzednio o gościnnych występach p. Przybyłko-Potockiej, wyczerpałem pogląd krytyczny na wartość tej gościny i nie spotkawszy w obecnym repertuarze tej wybitnej artystki żadnej nowej roli, w żadnej nowej sztuce, nie zatrzymam się dłużej nad jej arabeskową „Aszantką“. Sztukę Perzyńskiego grano przed rokiem u Gawalewicza w Małym teatrze tak, jak tylko grać było ją można, przez czterdzieści kilka wieczorów.

Gospodarstwo artystek — nawet „gościnnych“ — wznowiło „Aszantkę“ na scenie rządowej — zkąd to samo gospodarstwo wypędziło ją przed półtora rokiem. U Gawalewicza „Aszantką“ była p. Dulębianka i grała doskonale. P. Przybyłko-Potocka zamazała kontur typu w arabeskach gry, któremi tak przeładowała bohaterkę, jak dorobkiewicz przeładowuje swój nowo-stawiany pałac ornamentyką w stylu roccoco. Jej „Aszantka“ podobniejsza była do „Safony“, lub nawet „Salambo“, anizeli do podniesionej z bruku warszawskiego dziewczyny. O reszcie wykonania nic innego powiedzieć nie można nad to, że stało ono znacznie niżej od tego, co widzieliśmy w Małym teatrze.

Po „Aszantce“ w teatrach warszawskich nastąpił okres przygotowań do intromissyi p. Kamińskiego, jako głównego reżysera i artysty. Nastąpiło to w „Dyable“ Molnara, o którym niżej pozwalam sobie obszerniej nieco napisać.

W Teatrze Małym tymczasem pokazał nam dyrektor Gawalewicz trzy nowości — „Simonę“ Brieux'a, „Klub samobójców“ E. Mouezy i Arnaut'a, oraz „Hrabiankę Mizzi“ Artura Schnitzlera.

Brieux nieraz już grany był na naszych scenach i jakkolwiek krytyka niezawsze godziła się z reprezentowanym przez jego sztuki kierunkiem, dla publiczności jednak był on zawsze blizkim i sympatycznym, a przedewszystkiem dostępnym i wyraźnym autorem. I tym razem także wyraźnie zaznaczyła się różnica między gustem i pojęciami publiczności a poglądem krytyki, zarzucającej autorowi „Simony“, zużywanie efektów scenicznych dla przeprowadzenia pewnej tezy. Sądzę, że ta właśnie *teza*, tak wyraźna w innych sztukach Brieux („Czerwona toga“, „Blanchetta“), w „Simonie“ stanowi raczej myślową pubudkę autora, tkwiąc może w akcyi, ale nie występując na scenie, jako motyw konieczny. Treść sztuki osnuta jest na konsekwencyach, wynikłych z wymiaru kary za zdradę małżeńską. Sędzią jest naturalnie mąż a konsekwencye owijają się dokoła osoby jego córki, która tymczasem dorosła, pokochała, i której przeszłość jej rodziców grozi złamaniem młodego świtającego szczęścia. Otóż tezą w takiem zestawieniu wypadków i osób mogłoby być chyba tylko twierdzenie, że zło wlecze za sobą zawsze ciężki łańcuch logicznie nieubłaganych następstw, które Laokoonowymi sploty gniotą często ludzi bezwinnych.

Wątpię, czy Brieux fatygowałby się, by dowodzić faktu tyle razy już przedstawianego na scenie i wogóle w literaturze. Prędzej przypuszczę, że postanowił znane mistrzowstwo swej techniki wyzyskać dla pomysłu bardzo zwykłego, ale znowu silnego i świeżego w nowej inscenizacyi świadków. Przekonywa o tem faktura pierwszego aktu. Wszystko w niej obliczone na spotęgowanie *crescendo* efektu opowieści o karze wymierzonej wiarołomnej żonie przez zdradzonego męża. Niema w tym akcie akcyi — jest tylko opowieść wyefektowana majsterskiem użyciem środków scenicznych. I majsterstwo to jest tak wielkie, że opowieść zaczyna żyć, przybiera plastyczne kształty, ucieleśnia się w dyalogu, a co dziwniejsze, rośnie w nim do wysokości tragicznego nastroju o barwach zupełnie realnych i bardzo jaskrawych.

Efekt tego aktu jest też wyjątkowo silny i dwa następne interesują już tylko, jako dalszy ciąg historyi scenicznej dziwnej i oryginalnej, bo zaczętej w tym właśnie momencie fabuły, który u innych autorów zwykle sztukę kończy, albo przynajmniej bliskim jest końca. Brieux prowadzi swoją „Simonę“ pewną ręką przez kolizye uczuć i dochodzi do rozwiązania pogodnego, które podobno jest ustępstwem dla publiczności („Simona“ pierwotnie kończyła się posępnym bardzo nastrojem), ale nie zupełnie odpowiada konsekwencyi tematu.

Cała sztuka pozostawia wrażenie dodatnie, nie dlatego, że w niej *après la pluie le beau temps* następuje tak łatwo, ale dlatego, że jest utworem scenicznym, opartym na dobrej psychice, opracowanym nietylko prawidłowo i starannie, ale także z całą tą dojrzałą i świadomą barwnością scen i postaci, z umiejętnem napięciem strun dramatycznych i lirycznych, wreszcie z tą wyborną techniką, która właściwa jest talentowi autora „Czerwonej togi“.

Wyreżyserowana i wystawiona była ta piękna sztuka z całą tą subtelną pomysłowością Gawalewicza, która nawet tony światła, barwy obić i mebli, nawet bibeloty na biurku sharmonizować potrafi z nastrojem momentów sztuki i podkreśla niemi z artystyczną nonszalancyą wrażenia, któreby bez tego dla niejednego widza przepadły.

Gra odpowiadała zupełnie wartości sztuki i staraniom reżysera, zwłaszcza p. Staszkowski w roli ojca „Simony“ (najgłówniejsza obok niej postać) i p. Dulębianka w roli tytułowej dali doskonale wycieniowane, zupełnie skończone i żywe postacie.

Złożyło się w ostatnim tygodniu tak, że dyrektor Gawalewicz wystawił u siebie oryginalną, sensacyjną sztukę z repertuaru Grand-Guignol w Paryżu, akurat na tydzień przed wystawieniem „Dyabła“ Molnara w Letnim Teatrze. Sztuka nosi tytuł „Klub samobójców“ („Les nuits de Hampton-Club“) i należy do rzędu tych utworów, które, jak piszą krytycy warszawscy: szarpią nerwy i wywołują nowe dreszcze u zblazowanych bulwarowiczów.

Jak widać z tytułu, pomysłu do tego utworu dostarczyła legenda o istnieniu takiego „klubu“, podobno nie zupełnie zresztą pozbawiona podstaw. Do Hampton-klubu, będącego ostatnią przystanią ludzi, którzy wszystko już utracili — od pieniędzy aż do zdolności odczuwania wartości życia — zakrada się pod pozorem chęci pozbycia się życia ciekawy dziennikarz, polujący za sensacyę dla swych czytelników. Przyjęty na członka tego posępnego stowarzyszenia, siada razem z innymi do partyi, decydującej o kolei śmierci, wyciąga fatalnego asa pikowego i — skazany na śmierć pomimo swoich przedstawień, zamknięty w ciemnym pokoju, wylękły do szaleństwa w obawie śmierci, która tajemniczym sposobem ma go tam spotkać — ginie z własnej ręki, nie mogąc znieść męki i niepewności oczekiwania.

Jak widać z tej pokrótce skreślonej treści, pomysł jest oryginalny i jako kuracya istotnie denerwujący.

Krytyka przyjęła „Klub samobójców“ oburzeniem pełnem słów najostrzejszej, bardzo kolącej nagany.

Oburzono się naturalnie w imieniu sztuki, z którą wszelkiego pokrewieństwa odmówiono „Klubowi samobójców“.

Wrażenie tej sztuki jednak jest eksperymentem środków scenicznych — jest próbą napięcia tych czynników do momentu rzeczywistej grozy i interesuje podwójnie: jako sensacya i jako miara tych środków, któremi scena rozporządzać może. Ale to nieobchodzi krytyki, która, siedząc w pierwszych rzędach wstydzi się ulegać wrażeniom, którym poddają się inni śmiertelnicy. Krytyka musi mieć sąd wyższy, a przedewszystkiem różny od sądu normalnego inteligentnego widza.

„Klub samobójców“ jak również piękną „Hrabiankę Mizzi“ Schnitzlera, która wystawiona była jako *lever de rideau* tego wieczoru, grano bardzo dobrze i nastrojowo z wyjątkiem jednego p. Weycherta. Artysta ten dotąd, cieszący się takiem słusznem uznaniem, grał tym razem bez przejęcia i należytej mocy. Osłabił wrażenie końcowe, zatarł i zamazał doskonałą swą rolę (intruza dziennikarza).

A w Letnim Teatrze wystawiono tymczasem sztukę, która „elektryzowała Peszt, Berlin, Wiedeń, obiegła wszystkie sceny niemieckie i ukaże się zimą jednocześnie we Francyi, Anglii i Włoszech, której autor ubiegał się o nagrodę akademii węgierskiej“ (patrz „Kuryer Warszawski z d. 3 b. m.).

Utworem, który reklamowano tak szczerze i gorąco — z miłości dla wielkiej sztuki — jest „Dyabeł“ Molnara, tłómaczony przez p. W. R.

Młody malarz kocha się w żonie bogatego komersanta — oboje mają się ku sobie, ale — powstrzymują ich skrupuły (łatwo zrozumiałe, bo na Węgrzech rozwód nietrudny). Aby uszczęśliwić te dwa rozgorzałe serca zjawia się na scenie — dyabeł.

Dyabeł w roli Kuplera, kubek w kubek podobny do imci Edwina Zbrodniewskiego z „Ramot i Ramotek“ Wilkońskiego, taki krewny Mefista jak np. „Aszantka“ jest krewną... „Damy kameliowej“. Dyabeł ten, mający wszystkie cechy factotum dobrze wytresowanego w sprawach jego... szlachetnego

fachu — szepce do ucha kochankom wszystko to, co w takich niezdecydowanych sytuacyach oni sami mówią sobie zwykle w duszy. Kusi ich, wzbudza zazdrość i pożądanie — wreszcie przy pomocy paru dość marnie pomyślanych sztuczek, popycha jedno w objęcia drugiego — *e finita la commedia!*

Gdyby tego dyabła w „sztuce“ Mollnara nie było — zostałaby bardzo mdła i banalna, na francuzkiej kanwie zrobiona, sytuacya trójkątna, pozbawiona wszelkiej akcyi i nie mająca na nic usprawiedliwienia ani nawet jednego wyraźnego i plastycznego typu.

Ale dyabeł jest i gra go p. Kamiński.

Więc gra go pozą, linią, konturem, świetnie skrojonym frakiem, wystylizowanemi szczegółami postaci, no! i trochę także akcentem w nie nowych paradoksach dyalogu.

Gra p. Kamińskiego interesuje — nie dlatego, aby była „arcydziełem“, ale dlatego, że jest — jedyna. Wszyscy inni artyści (pp. Pawińska, Mirska, pp. Śliwicki i Owerłło) grają bardzo źle albo z fałszywego tonu, albo sucho, niezgrabnie jak z drewna. Gra jeszcze bardzo dobrze — jak zwykle zresztą — p. Pichor, ale gra niestety tylko epizodzik, który w dodatku psują jej inni.

Wystawa ładna, gustowna, staranna.

Reżyserya mocna; czuje się, że żadnych niespodzianek tu być nie może — role umiane, sytuacye wyuczone, — zadużo tylko szablonu w akcie II, za mało pomysłowości w rozrzuceniu grup, w plamach i wyrazistości tła drugiego planu.

Ale to nic!

„Sztukę“ mamy nareszcie! Mniejsza o to, że pomysł jest lichą parodyą jednego z największych dzieł w literaturze światowej, że autor konceptu do sytuacyi aż od Maeterlincka (!!) ośmielił się zapożyczyć (scena z płaszczem — Monna Vanna) — warczą bębny reklamy, aż prezes „Klubu samobójców“ postanowił wybrać się na „Dyabła“, by zobaczyć nareszcie, co jest „sztuką prawdziwą“ i z rozpaczy demonstracyjnie — usnąć na przedstawieniu w pierwszym rzędzie krzeseł!

Czekan.

Z literatury.

Potrzeby naszego wykształcenia.

Niezbyt dawno redakcya „Bluszczu“ poruszyła w artykule wstępnym doniosłość zadań, które mają przed sobą kobiety, wytykając zarazem niezbędność pracy przygotowawczej do tych zadań, pracy, polegającej na wykształceniu siebie.

Mamy teraz sposobność wskazania paru książek, wielce pomocnych przy wypełnianiu tego zadania.

Jedna z nich znalazła już w swoim czasie szerokie uznanie w prasie i wśród czytelników, poczem ukazała się w nowej szacie, dzięki przyjaźniejszym warunkom cenzuralnym.

Pod tytułem „Co i jak czytać?“ wyszła już w czwartem wydaniu książka p. W. M. Kozłowskiego, poświęcona zagadnieniom wykształcenia samego siebie.

Ale czy potrzeba jeszcze myśleć o samowykształceniu, kiedy mamy polska szkołę?

Na to odpowiedź znajdzie czytelnik w pierwszym rozdziale książki p. t.: „Wykształcenie samego siebie i szkoła“. Najlepsza nawet szkoła wymaga tego uzupełnienia dla dwóch głównie powodów. Szkoła daje gotowe odpowiedzi na pytania, których uczeń nie stawia; w samowykształceniu młodzieniec przystępuje do lektury i sam ją wybiera, szukając w niej odpowiedzi na dręczące go pytania. Szkoła uczy wszystkich według jednego szablonu; wykształceniu odpowiadać musi indywidualność kształcącego się.

Na ten to rozwój swobodnej i harmonijnej indywidualności kładzie przeważny nacisk autor w całej książce a związane z nim zagadnienia traktuje w sposób wyczerpujący. Zaczyna więc od „ubocznych źródeł wykształcenia“ (stosunki towarzyskie, teatry, wystawy), a wykazawszy ich niedostateczność przechodzi do książki, jako głównego źródła. Kreśli „plan biblioteki powszechnej“, wykazując potęgę książki. Zatrzymuje się dalej nad samem pojęciem wykształcenia; wykazuje zmiany, jakim ulegało z biegiem wieków, od czasów starożytnych do chwili obecnej; przeciwstawia dzisiejsze „organiczne“ dążenie indywidualizmowi końca XVIII w., łączy wreszcie syntetycznie te dwa składniki pojęcia: znajomość tego, co ludzkość wydała najlepszego (czynnik kontemplacyjno-historyczny) z umiejętnością zoryentowania się w zagadnieniach żywotnych chwili bieżącej (składnik praktyczny i aktualny). Zatrzymuje się jeszcze autor nad „czynnikiem ogólno-ludzkim i narodowym w wykształceniu“ (Rozdz. IV. — jest on znacznie rozszerzony w porównaniu z poprzedniemi wydaniami), zanim przejdzie do metodyki czytelnictwa obszernie omawianej w Rozdz. V.

W następnym rozdziale przebiega autor fazy rozwoju młodzieńczego, wykazując jak od dziedziny poezyi, od kraju zmyśleń przez podróże i życiorysy zwraca się naturalnie myśl młodego czytelnika ku coraz poważniejszym zagadnieniom; jak pierwsze próby filozoficznego ujęcia piękna prowadzą ku coraz większemu pogłębieniu myśli w wiedzy i filozofii. Wylicza tu cały szereg celniejszych utworów z rozmaitych dziedzin literatury pięknej i naukowej.

Teraz przechodzi do poszczególnych gałęzi czytelnictwa. W Rozdziale VII p. t. „Jak czytać utwory poetyckie“ wyjaśnia na szeregu przykładów z arcydzieł literatury wszechświatowej, jak szukać głębszej myśli i źródeł wykształcenia w tem co większość czyta jedynie dla przyjemności: w poezyi, powieści, dramacie.

Rozdział następny poświęcony jest „wiedzy i wykształceniu naukowemu“. Grupuje tu autor materyał według trzech zasadniczych przedmiotów: *człowiek*, *przyroda*, *ludzkość*, charakteryzując wyrazistemi rysami każdą z odpowiednich dziedzin literatury i wskazując najlepsze dzieła naukowe z licznych, wchodzących tu gałęzi wiedzy. Końcowy rozdział tej pierwszej części poświęcony jest „publicystyce i życiu“ — temu ostatniemu stopniowi wykształcenia.

Druga część książki obejmuje „Syntezę lektury i filozofię życia“. Tu wykazuje autor jak się buduje gmach swojej własnej indywidualnej filozofii życia z mozolnie nagromadzonego materyału, a praca ta grupuje się dokoła następujących zagadnień: filozofia życia i wykształcenie, moralność i szczęście (rozdział rozszerzony); pogląd na świat; ideały; jednostka i społeczeństwo (rozszerzone). Tu już mamy więcej niż wskazanie dróg; cel wędrówki przyświeca zdaleka czytelnikowi w postaci ideałów człowieczeństwa, a poprawne postawienie zagadnień jest rękojmią ich rozwiązania.

Autor pozostaje do końca wiernym założeniu: nic nie narzuca gotowego, do niczego nie namawia. Chce aby czytelnik, idąc za wskazówkami jego, sam sobie obrał te odpowiedzi, które najlepiej odpowiadają jego indywidualnym dążnościom i zadaniom życiowym.

O wysokiej wartości książki tak pod względem zawartych w niej wskazówek praktycznych, jak i gorącego umiłowania wzniosłych ideałów ludzkości świadczy aż nadto ten fakt, że w ciągu lat kilku jest to już czwarte wydanie, a pierwsze rozeszły się bardzo szybko. Nadmienić należy, że autor, chcąc uprzystępnić książkę, wydał ją własnym nakładem, co obniżyło cenę prawie o połowę (z 1 rb. 80 k. na 1 rb.).

W najbliższym związku z poprzednią zostaje książka tegoż autora p. t.: „Z haseł umysłowości współczesnej“. Sam autor wyjaśnia bliżej treść jej dodatkiem „Szkice publicystyczne“.

Istotnie, gdybyśmy chcieli postawić konkretnie i rozwinąć szereg zagadnień, wymienionych lub pominiętych w rozdziale „publicystyka i życie“ poprzedniej książki, doszlibyśmy mniej więcej do tego, co zawiera ta druga. Hasła i zagadnienia chwili bieżącej, spory, roznamiętniające stronników przeciwnych opinii, zagadnienia etyki, sztuki, życia społecznego; wszystko to dokoła czego obraca się myśl żywotna poruszone tu jest w sposób łatwy i treściwy. Ale autor nie ma tu już powodu do tej powściągliwości sądu, którą sobie wytknął był w pierwszem dziele, nie chcąc narzucać opinii swej czytelnikowi. Tu już zajmuje wyraźne stanowisko w każdem zagadnieniu, wydaje sąd, niekiedy bardzo dosadny o każdym kierunku, nie licząc się z tem, czy nowy i modny, czy stary i niepopularny.

Oto są zagadnienia, które omawiają szkice publicystyczne. Wykształcenie i oświata. Pogląd na świat. Rola inteligencyi. Jednostka i społeczeństwo. Potęgi dziejowe. Postęp i wsteczność. Ruch etyczny. O kobiecie. Apostołowie mierności. Gienjusze bez teki. Self - made - Man. Mrok czy świt? Epigonizm współczesny.

K. J.

Sztuka i literatura zagraniczna.

— Przed niedawnym czasem jeden ze znanych restauratorów obrazów w Wenecyi otrzymał do odnowienia obraz nieznanego pochodzenia. Po badaniu okazało się, że obraz ten, przedstawiający Matkę Boską z Dzieciątkiem Jezus i św. Janem, jest obrazem pendzla Correggia, jedną z najlepszych jego prac młodzieńczych o świetnym i jeszcze świeżym kolorycie. Rząd włoski nabył obraz za 17.500 lirów i przeznaczył go do galeryi Corfini w Rzymie.

— Wydawcy pozostałych dzieł po Henryku Ibsenie d-r Hawdan Koht i d-r Juljusz Elias, znaleźli nieznany dotąd rękopis Ibse-

na, nowellę romantyczną p. t. „Więzień na Akershus“. Rękopis wykryty został u siostry pierwszego wielbiciela Ibsena, jego przyjaciela młodości, Schuleruda. Nowelka ta wydana będzie jednocześnie z innemi pozostałemi po Ibsenie pracami.

— Abel Hermant wystawił nową sztukę „Monsieur de la Courpière“. Jest on dobrym literatem i jeszcze lepszym obserwatorem paryskiego środowiska dekadenckiego; lubuje się przytem w opisywaniu wszystkiego, co posiada najbardziej zniepravione pierwiastki występku nowoczesnego. Sceny te kreśli przytem piórem spokojnem, z zupełnem panowaniem nad sobą. Bohaterem jego najnowszej sztuki jest wicehrabia de la Courpière, młody, piękny, wytworny gentelman z rasy zepsutej; podoba się kobietom, wyzyskuje wszystkie i przez nie dochodzi do karyery. Pierwsze akty sztuki poświęcone są ekspozycyi zakładania sieci na ofiary, w czem dopomagają mu wszyscy: matka, jej kochanek, ojciec, przyjaciel i cała galerya do gruntu zdeprawowanych typów. Courpière zawiązuje przyjaźń z młodemi dziewczętami, wydaje je za mąż i potem, zostawszy ich kochankiem, korzysta z ich usług aby je opuścić i pogonić za inną ofiarą. W końcu pana de Courpière spotyka sowita nagroda za pełne trudów życie. W chwili kiedy mają go aresztować (ukradł coś bowiem na własną rękę) ocala go, rozkochana w nim młoda dziewczyna, z dwudziestu milionami. Cała sztuka przesiąknięta jest zepsuciem, scenicznie doskonale ujęta.

m. l.

Kronika działalności kobiecej.

Ruch kobiecy za granicą.

Austrya. Zaproszona przez Związek Równouprawnienia kobiet, baronowa Aleksandra Grippenberg, deputowana parlamentu fińskiego, przemawiała w Wiedniu d. 12 maja r. b. „O prawie wyborczem kobiet w Finlandyi“. Wymownemi słowy przedstawiała dzieje tych dni pamiętnych, gdy po raz pierwszy w Europie kobiety dostąpiły godności przedstawicielstwa narodowego. Ożywiona działalność agitatorek rozpoczęła się na wiele miesięcy przed terminem wyborów. Nauczycielki, studentki, włościanki, służące, bez względu na różnice przekonań politycznych, zbierały się tłumnie w celu wykładania programów poszczególnych partyi i przeprowadzania dla wprawy wyborów próbnych. Pełne zapału i zaparcia się siebie, podniecane w gorliwości przez mężczyzn, przygotowywały wybory do owego parlamentu, obecnie znów rozwiązanego. Wybrano kobiet 19, z tych 9 należących do partyi socyal-demokratycznej, 6 do starofińskiej, 2 do młodofińskiej, 1 do agrarnej i 1 do chrześcijańskiej. P. Grippenberg zalicza się do partyi konserwatywnej, starofińskiej—co w sprawozdaniu jej niejednokrotnie dawało się odczuć. I tak: o ile pani Makki Friberg, młodofinka, przed dwoma laty w lokalu związku kobiet austryackich w Wiedniu, z głębokiem uczuciem odtwarzając przebieg walki o wolność, kładła nacisk na wewnętrzną łączność między przeważającym udziałem w niej kobiet ze zdobytemi przez nie prawami, o tyle p. Grippenberg traktowała przedmiot sam w sobie, lub zaledwie w związku z ruchem abstynenckim, przyczem nadmieniła o „nienormalnych stosunkach politycznych“ tylko jako o godnem ubolewania zjawisku, pozostało nierozstrzygniętem pytanie — jak by kobiety były doszły do prawa głosowania bez tych, „nienormalnych stosunków“. Uznając za niepożądany fakt, że nie same przedstawicielki inteligencyi powołanemi zostały do parlamentu, lecz także i służące i praczka etc., twierdziła, że różnorodności stanowisk społecznych i partyjnych, utrudnia kobietom zgodny zespół w pracy prawodawczej, pomimo to podały kilka petycyi, jako to: w kwestyi prawa własności i pełnoletności prawnej mężatek, oznaczenia późniejszego wieku dla zawierających związki małżeńskie, stanowiska prawnego dzieci nieślubnych, karania przestępstw przeciw obyczajności, dopuszczania kobiet do służby państwowej i t. p. Najdonioślejszym skutkiem posiedzeń parlamentu było uchwalenie prawa wzbraniającego używania alkoholu do czego w znacznej mierze przyczyniły się kobiety jako wyborczynie i deputowane, wszakże rząd prawa tego dotąd nie zatwierdził.

Niemcy. Mocą nowego prawa kobiety od d. 15 maja tworzyć mogą stowarzyszenia polityczne lub przyłączać się do takichże męzkich. Czerwcowe wybory do sejmu pruskiego nastręczyły im pierwszą ku temu sposobność. Zarówno stronnictwo socyal-demokratyczne, jak i związki równouprawnienia kobiet rozwijają żarliwą działalność, obiecując sobie stanowczo podkopać osławiony trójklasowy system wyborczy. Hasło tedy wyborcze brzmi: „Prawo głosowania powszechne, równe, tajne, bezpośrednie, dla wszystkich pełnoletnich, bez różnicy płci.

— W parlamencie pruskim uchwalono zwiększyć liczbę nauczycielek w elementarnych szkołach rządowych oraz otworzyć nowe żeńskie seminarya nauczycielskie. Dotychczas w elementarnych szkołach procent kobiet nauczycielek wynosi 18 procent i to przeważnie po miastach, chodzi więc głównie o zaopatrzenie szkółek wiejskich w pedagogiczne siły kobiece.

— Frakcya liberalna w sejmie bawarskim wniosła projekt ujednostajnienia i reformy średnich szkół dziewcząt, jak również stopniowego ich upaństwowienia.

— W niedzielę palmową w Bremie, w jednym ze zborów przemawiała z kazalnicy zatwierdzona w godności duchownej w Anglii, pastor-kobieta, Gertruda v. Petzoldt. Za temat posłużył jej ustęp z ksiąg Joba: „I cóż jest człowiek, że go tak wiele ważysz, co syn człowieczy, że na niego otwierasz oczy Twoje?“ Wrażenie miało być bezprzykładne.

— Pierwsza konferencya w „Towarzystwie opieki nad niemowlętami“ odbyła się w kwietniu w Düsseldorfie przy licznym udziale doktorów, prawników, urzędników państwowych i delegatek związków kobiecych.

— W Wrocławiu od 8 do 10 czerwca miał miejsce siódmy zjazd nauczycielek ludowych ze wszystkich prowincyi pruskich. Równocześnie tamże odbywał się zjazd Związku nauczycielek-abstynentek.

Francya. Uniwersytet paryzki ustanowił 10 stypendyów, każde po 6000 franków, przeznaczonych dla kobiet, mających być wysłanemi do Niemiec, Anglii, Norwegii i Ameryki w celu studyowania tamtejszych zakładów wychowawczych.

— Przy obieraniu radców miejskich w Paryżu, jakkolwiek kobiety nie posiadają we Francyi praw wyborczych, jako kandydatka wystąpiła pani Laloé i uzyskała 990 głosów przeciw 3,500 kontrkandydata.

Gabr. R.

Chwila bieżąca.

— Młodoturecki komitet, oficerowie i kilkatysięczny tłum urządzili gorącą owacyę Fuad'owi baszy powracającemu z wygnania, na które był skazany za czasów dawniejszego systemu rządowego. Mnóstwo parowców i łodzi wyjechało na morze naprzeciw powracającego Fuada niesiono od przystani na rękach.

— W przeciwieństwie do powyższej manifestacyi przedstawia się śmierć znienawidzonego powszechnie dowódcy Smyrny Tesolik'a, który został zrzucony z balkonu potłuczony kijami.

— Sultan z prywatnych dochodów swoich przeznaczył 4 miliony funtów tureckich do rozporządzenia ministeryum w celu poprawienia finansów państwa.

— W Smirnie żołnierze anatolijscy uwolnili z więzienia 1.800 więźniów. Powstał zamiar założenia „ogrodu wolności“ na miejsce budynku więziennego.

— Młodoturecki komitet wydał orędzie wzywające bulgarów i greków do spokoju.

— W Macedonii zniósł wielki wezyr sądy wyjątkowe.

— W niektórych dziennikach tureckich ukazała się fałszywa proklamacya skierowana przeciw Rosyi i Francyi, które jakoby postanowiły przeszkadzać powodzeniu nowego ustroju. Proklamacya grozi miejscowym europejczykom represyami. Ani konstantynopolitański, ani salonicki komitet proklamacyi takiej nie wydawały — fałsz został wyśledzony i potępiony przez dzienniki młodotureckie.

— Dla Abdul Azisa ludność Tetuanu urządziła wielką manifestacyę. Zdaje się, iż do tryumfu oręża Abdul Azisa pomagali oficerowie francuzcy.

— Władze policyjne stwierdziły, iż stowarzyszenie „Sokół“ w Zagrzebiu było zorganizowane po wojskowemu i miało na celu przygotowanie zbrojnego powstania, aby ogłosić niepodległość Chorwacyi. Z tego powodu aresztowano mnóstwo osób podejrzanych o należenie do organizacyi rewolucyjnej dla utworzenia Południowosłowiańskiej Federacyjnej Republiki.

— Naczelnicy band serbskich w Macedonii w liczbie 14 wojewodów zamkniętych w Serbii, oraz 70 „komitadziów“ — w mundurach i uzbrojeni wyjechali do Turcyi dla złożenia broni w Ueskuebie jako dowód poszanowania dla nowego ustroju państwa. W Białogrodzie na dworcu 8000 obywateli urządziło wojewodom owacyę, które też towarzyszyły im podczas całej podróży. Na granicy tureckiej wzdłuż linii kolejowej witano ich wszędzie z honorami wojskowemi, w samym zaś Ueskuebie urządzono wielką manifestacyę stwierdzając przyjaźń serbsko-turecką.

— Z powodu jubileuszu cesarza Franciszka Józefa ogłoszona będzie w poniedziałek d. 17 b. m. amnestya.

— Przeciw Finlandyi reakcyjna prasa prowadzi energicznie kampanię. „Russkoje znamia“ żąda wysłania dwuch korpusów wojska do Finlandyi w celu rozpędzenia sejmu i zniesienia autonomii. Do Finlandyi na koszt rządu wyjechało sporo osób, dla zbadania warunków miejscowych, aby módz na wypadek jakich powikłań zająć odpowiednie stanowisko, to jest zapełnić etaty kancelaryi do spraw finlandzkich i pozajmować wyższe urzędy administracyjne.

— Król Edward angielski d. 11 b. m. zjechał się z cesarzem pruskim Wilhelmem II w Kronbergu, gdzie cesarz podejmował swego wuja Edwarda w zamku księcia Fryderyka Karola Heskiego Friedrichshofie. Następnie król Edward udał się do Ischl'u dla odwiedzenia cesarza Franciszka Józefa. W dalszym ciągu, król angielski, jak zwykle udaje się na kuracyę do Marienbadu.

— Z powodu artykułów posła Józefa Kościelskiego, umieszczonych w pismach francuzkich, poruszających sprawy polskie pod zaborem pruskim, pisma hakatystycz-

ne żądają usunięcia Kościelskiego z Izby panów. Prześladowanie biednego Drzymały wzmaga się bezustannie. Obecnie wtrącono go do więzienia niewiadomo za co.

— Wraz z germanizacyą idzie protestantyzacya. Staraniem osławionego pastora Rozenberga utworzyło się stowarzyszenie hakatystyczne celem protestantowania ludności polskiej. Usiłują też za pomocą przewrotnej argumentacyi dowieść, iż w Ameryce przeszło 56 tysięcy Polaków odszczepiło się od Kościoła rzymsko-katolickiego. Maryawici zaś w Królestwie liczą 100 tysięcy osób, które zerwały z Rzymem.

— Warszawski sąd wojenny będzie wkrótce rozpatrywać wielki proces 86 oskarżonych o należenie do Bundu. Również sprawę 73 osób anarchistów-komunistów.

— Pilną sprawę wytworzenia instytucyi przygotowującej odpowiednio wychowane i wykształcone nauczycielstwo ludowe, rozstrzygnięto w Żyrardowie przez utworzenie seminaryum nauczycielskiego żeńskiego.

— W Niemczech hr. Zeppelin, w Paryżu amerykanie bracia Wrigh usiłują podbić atmosferę, budując balony nowej konstrukcyi. Balon hr. Zeppelina spotkała katastrofa, spalił się ze szczętem. Solidarni niemcy jednak urządzili subskrypcyę, która w krótkim czasie przyniosła już 2 i pół miliona marek, na budowę nowego balonu. Pieniądze napływają w dalszym ciągu.

— Dnia 14 b. m. banda rabusiów napadła o godzinie 1-ej w nocy na stacyę przystanku Włochy, kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. Zteroryzowawszy personel służbowy, rozbili kasę i zrabowali 22 rb. Następnie podzieliwszy się łupem zbiegli przez nikogo nie zauważeni.

— We Francyi zmarł generał Walery Wróblewski, polak, emigrant z r. 1863, uczestnik wojny francuzko-pruskiej i komuny Paryzkiej. Pochowano go w Paryżu d. 10 b. m. z honorami wojskowemi.

— W Odesie zakończył życie d-r Piotr Kulikowski, wybitny przedstawiciel tamtejszej kolonii polskiej.

— Słynny korespondent „Timesa“ William Levino zmarł w Paryżu w 62 r. życia.

Treść numeru:

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz 3-ci tomu II powieści p. t. „Pamiętnik idealistki“, przez Malwidę von Meysenbug, w przekładzie R. C.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca: **Piotr Laskauer.**

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa, Nowy-Świat 41.